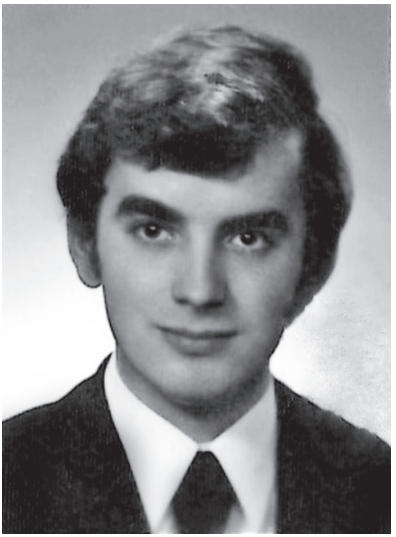

DR HAB.
JÓZEF WRÓBEL

Pracuje w Katedrze Historii Literatury Polskiej XX Wieku. Jego zainteresowania skupiają się głównie na dwudziestowiecznym pograniczu polsko-żydowskim; temu zagadnieniu poświęcone były jego dwie książki: *Tematy żydowskie w prozie polskiej 1939–1987* (1991) i *Miara cierpienia. O pisarstwie Adolfa Rudnickiego* (2004). W Bibliotece Narodowej wydał także wybór opowiadań tego pisarza. Społecznie od wielu lat zajmuje się sprawami polonijnymi. Za działalność opozycyjną w latach osiemdziesiątych wyróżniony medalem fundacji „Dziękujemy za Wolność". Ukończył I Liceum Ogólnokształcące im. Kazimierza Brodzińskiego w Tarnowie.

Czterdzieści pięć lat temu

CZTERDZIEŚCI PIĘĆ LAT, które minęły od piątej Olimpiady, to szmat czasu i wiele wspomnień już się zatarło i zblakło. Było to wielkie wydarzenie i przeżycie, które określiło moją późniejszą drogę zawodową, a nawet życiową.

Zaczęło się w sposób niespodziewany, przykry i smutny; na kilka tygodni przed eliminacjami wojewódzkimi zmarł profesor Kazimierz Wyka, który był promotorem tego ruchu. Do dziś zazdroszczę niewiele co starszym kolegom, którzy zetknęli się z Nim – czy to na Olimpiadzie, czy potem na studiach. W pisemnych eliminacjach podział był klasyczny na literaturoznawstwo i językoznawstwo. Pamiętam, że pisałem o tendencjach we współczesnej prozie. Akurat byłem świeżo po lekturze *Fantomów* Kuncewiczowej i jeszcze paru innych tytułów (chyba także popularnego wówczas Mariana Brandysa), co dało mi podstawę do postawienia i obrony tezy o odchodzeniu w prozie od fabuły na rzecz eseizacji. Widać moje założenia zyskały uznanie w oczach komisji, która dopuściła mnie do eliminacji ustnych. Trochę z zażenowaniem wspominam występ przed tym gremium, broniłem się bowiem ekspresyjnym głosem, któremu towarzyszyło wymachiwanie rąk. Skończyło się to drugim miejscem, pierwsze dostała Małgosia Święch, koleżanka z tej samej klasy i, rozumie się, spod ręki tej samej nauczycielki. Trzecią była Kinga Zygma, wtedy początkująca poetka, z którą łączyła mnie potem wieloletnia serdeczna przyjaźń, aż do jej śmierci w 2015 roku.

Nie sposób nie poświęcić kilku zdań wspomnianej nauczycielce. Była nią Barbara Paluch, wtedy już od kilkunastu lat ucząca polskiego w I Liceum Ogólnokształcącym im. K. Brodzińskiego w Tarnowie. Nasza dwójka nie była jej pierwszymi laureatami Olimpiady, miała już wcześniejszych. Od lutego do maja dwa razy w tygodniu organizowała dla nas komplety, na których przygotowywaliśmy się do startu w Warszawie. Za to zaangażowanie, za powszechny szacunek, którym cieszyła się wśród uczniów i rodziców (chyba gorzej było wśród samych nauczycieli, tu wchodziła w grę zazdrość, a może i zawiść), a przede wszystkim za niezależność władza ją ukarała. A gmach wszechwładnego Komitetu Wojewódzkiego Partii był blisko, po drugiej stronie ulicy. Została służbowo przeniesiona do liceum dla pracujących, głównie do klas, w których milicjanci w szybkim trybie dochodzili do matury. Jakieś listy podpisywali byli wychowankowie, nieskuteczne, reszta milczała. Tak zniszczono człowieka i edukacyjne szanse kilkunastu roczników młodzieży.

Dobrze przygotowany z dwóch tematów wybranych spośród zaproponowanych przez Komitet Główny Olimpiady: 1. *Portret artysty młodopolskiego*, 2. *Słowniki języka polskiego*, ruszyłem na podbój Warszawy. Nie pamiętam już wszystkich tematów, które wtedy zaproponowano. Wybrałem analizę porównawczą pieśni Kochanowskiego *Niezwykłym i nie leda piórem opatrzony…* i Mickiewicza *Wizyta pana Franciszka Grzymały*. W polonistyce szkolnej były to czasy mocnego zwrotu, dyktowanego głównie przez Bożenę Chrząstowską, ku autonomii dzieła poetyckiego, zagadnieniom teorii literatury i poetyki. To miałem opanowane i żadne stopy i tropy poetyckie obce mi nie były. Wypracowanie to zyskało uznanie komisji, pamiętam, nawet pochlebną recenzję cytowano potem w pierwszej książce poświęconej Olimpiadzie, w której zresztą anonimowo zamieszczono także mój tekst. Redakcja przeoczyła jedną literówkę. Wiersz Mickiewicza w wydaniu narodowym zatytułowany był *Exegi munimentum* (i tak napisałem), a nie *Exegi monumentum*. Przy drugiej lekcji sypie się cały koncept interpretacyjny. Egzaminowi ustnemu towarzyszyły duże emocje

i niewiele z niego zapamiętałem. Artystą młodopolskim zajął się Michał Głowiński, to wiedziałem. Na następny dzień jeszcze zatrzymaliśmy się w Warszawie i rano przeczytałem komunikat w „Życiu Warszawy" z informacją o moim pierwszym miejscu.

Towarzyszyła temu swoista sensacja. Zgodnie z ówczesnymi obyczajami wpisywało się w ankietę pochodzenie. Wpisałem chłopskie. Gdyby ankieta była bardziej dokładna, wpisałbym: chłop małorolny, galicyjski; broń Boże kułak czy badylarz. I to była sensacja. Tu ożywiła się prasa ludowcowa, drukując notatki, a nawet całe reportaże o mnie, jeszcze istniejący wtedy Związek Młodzieży Wiejskiej przyznał mi w nagrodę wycieczkę po Morzu Czarnym. Nawet wezwano mnie do wspomnianego złowrogiego budynku stojącego naprzeciw, siedziby PZPR i ideologicznych związków młodzieżowych. Pijany w sztok funkcjonariusz ZWM coś przebąkiwał o Odznace im. Janka Krasickiego, nie był aż tak pijany jednak, żeby nie dostrzec mojej buty i lekceważenia. Odznaki nie dostałem, wystarczyło, że skończyłem szkołę z zacnym patronem, ale przy ul. Janka Krasickiego, dziś Józefa Piłsudskiego.